

JAŃCIO WODNIK

Tak śpiewając i czyniąc tak, jak powiedziane było w piosence

– Jańcio doszedł do zabudowań Sochy.

Gospodarz zajęty był przycinaniem na kosie słomy na podściółkę. Zgięty głęboko, rozpierał ostrze między ziemią a swoim brzuchem. Podniósł spojrzenie na Jańcia, uśmiechnął się półgębkiem, jak wypadało w przytomności kogoś o tak złej sławie jak Jańcio, i wrócił zaraz do zajęcia.

Nie na długo. Jańcio podszedł bez przywitania. Nim Socha zrozumiał, co się stało, wykopał mu kosę spod brzucha.

Chłop zarył głębią w ziemię. Chciał się poderwać z klęczek, ale Jańcio zdążył już się pochylić po kosę i położyć ją na karku Sochy. Wyglądał jak śmierć, która przyszła po swoje – chudy, wysoki, zawieszony nad szyją nieszczęśnika.

Odezwał się głucho:

– Pamiętasz, Socha, starą kobyłkę, coś ją wygnał na zmarnowanie sześć lat temu?

– Pamiętam, Jańcio. Stara była. Ochwaciła się, parchów dostała, wodę zaczęła puszczać spod ogona... tom ją wygnał.

Po co mi było takie zwierzę?

– A wiesz ty, Socha, że przez ten twój zły uczynek na świat spadło nieszczęście?

– Na cały świat?

– Widzisz, Socha, przez jeden zły uczynek jednego złego człowieka przybywa zła w całym świecie. I to zło potem

wraca odpryskiem i uderza w kogo chce. Tyś sześć
lat temu posiał zły uczynek, ja przez sześć lat zbierałem
żniwo. To nie jest sprawiedliwe. Ale tak samo, Socha, od
każdego dobrego uczynku przybywa dobra w całym świecie.
I ja teraz zrobię dobry uczynek... Nie zabiję cię Socha,
choć może powinienem.
To powiedziawszy, Jańcio odrzucił kosę. Spojrzał w niebo.
Za chmur wyszło słońce. Strzeliło światłem, gdzie
chciało. Jańcio uśmiechnął się trochę.

POGRABEK

Obudził się nad ranem. Tu i tam odzywały się już ptaki,
pełną pierśią chwaliły się koguty, krowy skarżyły się
na ciężące wymiona. Było jeszcze ciemno. Zaskrzypiało
okno. Pograbek spojrział tam i zeszywniał. Oto okno samo
z siebie, wolniutko otworzyło się i do izby napłynęła mgła.
Za mgłą poszedł zaraz głos Kaczuby:
– Kręcę się, Pograbek, po swoich stronach, łązę tu i tam
i nijak mi odejść... Nieprawdę mówią, że po śmierci spokojniej,
ale swoją drogą, to nie za dobrze mnie, Pograbek,
ogoliłeś, nie za dobrze...
– Skóra wam już się rozchodziła na szyi, Kaczuba... –
usprawiedliwił się chłop.
– Co ty mi tu pierdolisz, Pograbek, o skórze... Myślam
byłeś gdzie indziej i ręką gdzie indziej, to ochemdałeś tylko

po wierzchu. Tam, skóra... Ręka nie słuchała głowy, to
już nie pierdol o skórze jak komu obcemu.

– Przecież wiecie, Kaczuba. Przecież wiecie, co się zrobiło...

– usprawiedliwił się Pograbeł już inaczej.

– Kuścyczka?...

– No, Kuścyczka i ten tam... Materka.

– To idź i odbierz, Pograbeł – twoje przecież... Twoja
kobieta, twoja krowa, to nad czym tu myśleć? Idź po swoje.

– Racja. Pójdę, odbiorę i jeszcze mordę obiję jak jakiej
suce!

– A obij, Pograbeł, obij. Twoje prawo mordę obić
jak suce.

– To pójdę zaraz.

– To idź, Pograbeł, idź.

CUDOWNE MIEJSCE

W trakcie wypowiedzania tych słów za plecami Indorka
na wyświetlonej na złoto polanie pojawił się znikąd biały
koń. Może wszedł z lewej strony, zza wielkiego buczyska,
a może po prostu utkały go słoneczne promienie. Tak czy
inaczej biały koń o szlachetnym, małym łbie, smukłej szyi
i cieniutkich pęcinach znalazł się na polanie razem z Indorkowym
myśleniem o nim. Ziścił się nie do końca. Lilie
wodne na okraju moczarzyska i czerwone kiście jarzębin

zdawały się przenikać przez jego cieką skórkę.

Szlachetne zwierzę nie pobyło na polanie długo. Przepadło razem ze słońcem, któremu przysła pora zachodzić.

Indorek nie przestawał się uśmiechać. Kiedy umilkł w nim głos Grażynki, ponownie odezwał się sam:

– Myślę o tobie...

Nie bardzo było wiadomo, kogo dotyczy to wyznanie

– ukochanej czy siwka. W każdym razie zaraz potem sięgnął

Indorek do kieszeni, wydobyl stamtąd garść ziarna

i wysypał je na głowę, a dokładniej mówiąc – na zimową

czapkę pozbawioną podszewki i przysposobioną do lata.

Szybko przyleciały ptaki. Dopadły ziarna i zaraz pokłóciły

się o nie. Zrzuciły Indorkowi czapkę, poleciały za nią,

zakłębity się przed Indorkowymi nogami. Indorek dosypał im

ziarna. Uśmiechnął się. W chwilę po tym gwałtownie zapadł

zmiersch.

[...] onieśmielony Balcerek długo

milczał, nim zdecydował się odezwać, a kiedy przemówił,

w głosie jego zabrzmiały fałszywym tonem słodycz i oddanie:

– Jakby ksiądz wcześniej dał znać, to ja bym bryczkę od

okazji podszykował, a tu wczoraj wiadomość i martw się

człowieku... Resorka tylko była pod ręką, ale koniki paradne.

Nieprawdę mówię, proszę księdza?

– Prawdę pan mówi.

– Ale jaki tam „pan”. U nas na „wy” się mówi, proszę

księdza. Mnie na przykład Balcerek wołają. A księdza jak?

– Mnie Jakub.

Balcerek zmilkł. Jakiś czas smakował podane mu imię,

potem odezwał się miękko:

– Jakub... To tak, jak ten z Pisma Świętego, co mu się drabina do nieba przyśniła.

Zamilkł na nowo, ale szybko wyszykował sobie następną myśl:

– Ja tak myślę... jeżeli oczywiście można, proszę księdza...

– Można oczywiście.

– Więc ja tak myślę, że jakby tę drabinę z Pisma Świętego ustawić w Popielawach, no wie ksiądz – w naszej wsi, to z niskiego, można powiedzieć, szczebla przychodzi księdzu zaczynać. Nieprawdę mówię, proszę księdza?

– Nieprawdę, panie Balcerek. Dla Pana Boga wszędzie jest środek świata, więc i dla mnie...

– Środek świata, mówi ksiądz...

Z tonu Balcerka zniknęła niedawna słodycz. Upoważniła go do tego niedorzeczność słów kapłana.

– Środek świata – zdziwił się. – No, tego to ja bym o Popielawach nigdy nie pomyślał.

MAGNETO

Kończył się wrzesień. Po Bieszczadach poszło jesienne malowanie. Połoniny przypaliły się brązami i czerwieniami.

Była pora przedwieczorna. Po stokach rozbiegły się mgły – niziutko, pracowicie.

O takiej porze od stacji PKS-u, wciśnięty w piaszczystą drogę – jechał wóz. Ciągnął go z mozołem stary, przechodzony w Bieszczadach kasztan o zapadłym grzbiecie. Na wozie siedział Władeczek z lejcami w dłoni i starszy, około sześćdziesięcioletni mężczyzna o szlachetnej twarzy. Miał siwe i długie, niespotykane w tych stronach włosy, oraz podobnie niespotykane odzienie – jasny płaszcz i kapelusz.

Odezwał się po dłuższej chwili:

– Daleko jeszcze?

– Za wypaleniskami...

– To znaczy, daleko?

– Nie, niedaleko.

Przejeżdżali właśnie przy idącym łagodnie stoku, w poprzek

którego sphywał strumień prowadzący, jak się zdawało,

od drewnianej chałupki stojącej wyżej. Zobaczył ją

Stary ucieszył się, zapytał zaraz:

– A jakbym dłużej chciał się tu zatrzymać... no powiedzmy

– tydzień – to chyba jest gdzie zamieszkać? No,

choćby w t ej chałupie u góry.

Władeczek spojrzał w ślad za palcem Starego.

– W tej chałupie? Dobra chałupa po Rozpendku. Długo

stała pusta, ale jakiś wynajął ją niedawno.

– Jakiś?

– Obcy jakiś... Taki, co to już się pewnie nażył, już się

nachleptał życia zachłannie jak pies wody w gorąco i teraz

szuka spokoju w bukach. Bo buki dają spokój, ukojenie...

Mówiłem to już?

– Tak, mówił pan. Ukojenie dają... buki... Mówił pan już.